№ 20.

Warszawa, dnia $\frac{8}{20}$ Maja 1865 r.

# TYGODNIK MÓD



## NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). Na Prowincji *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75). — W Cesarstwie i Królestwie, z dopłatą kopert pocztowych *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50); *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 kop. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą. — Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować. — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

## OBRAZKI WARSZAWSKIE

(Dalszy ciąg).

### I.

TARG PRZED ŻELAZNĄ BRAMĄ.

Wpośród wrzawy wzmagającéj się z każdą chwilą, najruchliwsze i najgwarniejsze jest miejsce przeznaczone na targ rybny i owocowy, zmieniający się stosownie do pory roku. Są to przedmiota w handlu codziennym największą, najpiękniejszą i najstalszą przynoszące korzyść, odebrany towar choćby w największéj ilości z pewnością nie zmarnuje się, i rozerwany zostanie do ostatniéj wisienki i płoteczki, choćby w dwa razy większéj nadszedł ilości jak zwykle. Dlatego każdy z przekupniów pragnie posiadać go jak najwięcéj, z tąd wrzawa i tumult odrębne od ogólnego ruchu zwracające często uwagę całego handlowego zbiorowiska. Miejsce na targ ten przeznaczone ciągnie się szerokim pasem przy kamienicy dawniéj Krzemińskiego, w lecie ryby na nim przedają się tylko w Piątek i to żywe, pluskające się w wodzie, w zimie codziennie mrożone, owoce zaś przez czas ich trwania w ogrodach. To też balje, szafle, wanny, wagi, w zimie ciągle na placu zajmują swoje stanowiska, w lecie aby się nie rozsychały, idą na schowanie do piwnic obocznych kamienic, i tylko w czwartek wieczorem z dudnieniem dalekich bębnów, ciągnione po bruku ustawiają się na swych stanowiskach, aby być gotowemi na targ piątkowy.

Z początku na targowisku rybno-owocowem, cicho i pusto, żywéj jak to mówią nie widać duszy, tylko koty z nocnego żeru przechadzają się swobodnie i ptastwo domowe razem z wróblami poi się i pławi przy wodociągu.

W tem na całym rynku potroszku zaludniającym się, powstaje niezwykły tumult; z różnych stron, kątów i zaułków, z tąd, z owąd jakby z pod ziemi, wybiegają żydówki i żydzi i z całych sił o ile tylko mo-

gą, pędzą w jednym kierunku, z gestami zdradzającemi niemożność szybkiego biegu i gorącą chęć wyprzedzenia wszystkich, choćby przyszło brzuch zostawić po drodze lub nogi na bruku pozbijać.

Tu jedna zaplątana w szołdrach spódnicy brzdęka na ziemię jak długa, druga zawadza o leżącą i tracąc równowagę leci jak kula w przeciwnym kierunku, chwytając się pierwszego lepszego, aby nie podzielić losu swojéj towarzyszki: ten przeskakuje, ów jak hart zbierając nogami, ściąga na rękę poły długiego surduta, inni karambulują się, popychają, ten łapie się za głowę zacierając ręką niespodzianie otrzymanego guza: temu spada czapka, ów gubi pantofel, a widzowie nie należący do wyścigów, podnoszą nad porządkowaniem produktów nachylone głowy, puszczają ciekawe spojrzenia za biegnącemi i śmiejąc się nadszczuwają jak psów gończych w lesie: hu! ha! a huzia! lecąca hałastra łając się wzajemnie, wrzeszcząc nie zważa nic na to, tylko z powiewającemi przy głowie zawiązkami, z rozczochranemi czepkami, z rozmamanemi jak skrzydła surdutami, pędzi z coraz większą zapalczywością i wreszcie znika zwykle w ulicy Żabiéj, ciągnąc za sobą jakby ogon, kilku opóźnionych maruderów. Nie długo z punktu do którego to wszystko leciało i utonęło jak kamień rzucony w wodę, wytykają łby końskie, za niemi pokazuje się wóz naładowany beczkami ryb lub owocami a przy nim, nad nim i w około, rój dzieci Izraela pozawieszany na półgrabkach, drągach, na rozwoże, kłonicach, rojący się na wierzchu, wdrapujący się, swarzący, odpychający, i trzymający beczki rękami jako dowód w posiadanie zajętéj już własności. Wóz w takiem otoczeniu, nastroszony głowami, podobny bardzo do chrabąszcza oblepionego rojem żarłocznych mrówek: wolno skręca na miejsce targowiska i zaledwie konie w pochodzie zatrzymane zostaną, choć wóz chwieje się jeszcze resztkami nadanego mu ruchu, wszystko co na nim znajduje się, beczki, słoma, obrok, siano, nawet różne graty woźnicy, zostaje w jednéj minucie wyrzucone na bruk, z pośpiechem tak gwałtownym, z takim zakotłowaniem, że nawet na klepisku słoma lepiéj nie skacze pod najsilniejszem uderzeniem cepów, jak tu leci w górę wszystko, co się tylko na wozie znajdowało. Za opróżnionym wozem, przybywa drugi, trzeci i piąty, z każdym odbywa się podobna operacja, harmider się zwiększa, tumult rośnie, swar wzmaga się następuje wydzieranie sobie beczek, odpychanie gwałtowne, czasami przychodzi do małéj bójki, do wrzasku gwałtownego lub płaczliwego lamentu, ale w kwandrans, nieporozumienia zupełnie zostają załatwione i beczki wzięte na silne plecy wyrobników, rozchodzą się w różne strony, bez pytania gdzie, na czyją własność i kto za to zapłaci. Podobne sceny w małych ustępach czasu, powtarzają się potem jeszcze razy kilka, w chwili jednak zjawienia się kupujących, porządek na całéj przestrzeni rybno-owocowego targu, już najzupełniéj panuje i ryby pluszczą się w baljach albo piętrzą owoce rozłożone na stołach. Patrząc wtenczas na ten spokój i porządek, niktby się nie domyślił, obrazu jaki tu niedawno panował, a chociaż nieład, wrzask, swar, i tumult główne stanowiły tło jego, chociaż wrzał życiem tak szybkiem i ruchliwem, że go nie podobna objąć w całości, bo co krok to nowa scena, co sekunda to świeży obrazek, chociaż w tem rozrywaniu towaru na wszystkie strony trudno dojść, kto tu kupujący a kto sprzedający, komu niosą beczki czy sobie czy komu, kto płaci a kto bierze? jednak w tem nieładzie i zamięszaniu największy panuje porządek, wiara niczem nie zdradzona, sumienność godna największéj pochwały i szanowanie praw dobrowolnie ustanowionych i rozumnie wykonywanych. Dlatego też wrzawa wprędce cichnie, kłótnia uspakaja się, bo je sprowadza nie chęć oszukania, ale chwilowe nieporozumienie, nie podejście, ale gorąca żądza uchwycenia jak najprędzéj tego, co ma przynieść tak chciwie upragniony zarobek.

Trzeba wiedzieć, że każdy handlujący żydek ma swoją wyłączną specjalność, ten handluje zbożem, tamten bydłem, ten okowitą, tamten różną starzyzną, ten końmi, tamten rybami i owocami, i z tąd to każdy oddany jedynie swéj specjalności, trzymając się jéj rękami i nogami, nabiera tak ogromnéj wprawy, tak wielkiéj znajomości najdrobniejszych szczegółków, dziwiących wszystkich, szczególniéj nas w zabiegu handlowym nie bardzo utalentowanych. Na targu więc rybno-owocowym znajduje się kilku żydków handlujących tylko rybami albo owocami i oni to jedynie zakupując towar po okolicznych wsiach, znając na pamięć jak na palcach, wszystkie stawy, sady i ogrody, jakie w nich ryby lub owoce, w jakim gatunku i obfitości i zakupiwszy hurtem sprowadzają furmankami do Warszawy. Taki rybiarz w żaden już inny interes się nie wda, nie będzie o nim nawet mówić, ale za swoim ruszy choćby do piekła, naprzód obliczywszy wszystkie straty i korzyści, przeszkody i ułatwienia w interesie. Zakupując hurtem, sprzedaje także hurtem na sprzedaż szczegółową, głównie zaprzątającą kobiety żydówki, biedne wdowy, lub mężatki którym zajęcie męża nie wystarcza na utrzymanie domu. One to głównych handlarzy otaczają jak kurczęta kury, naprzód zadatkują, otrzymują zawiadomienie kiedy towar nadejdzie, reprezentując najmniéj sześćdziesiąt rodzin utrzymywanych ich pracą i zabiegiem, sprawiają ów zgiełk i ogólną wrzawę. Dlatego też jak tylko zobaczą wjeżdżającą w ulicę brykę z beczkami, pędzą do niéj troszkę z chciwości jak najprędszego odebrania swojéj własności, więcéj

zaś w chęci wybrania jak najświeższych ryb lub najpiękniejszych owoców, które przez klepki, dna i obrączki, przeczują i przewąchają. Położenie ręki na beczce, lub zrobienie znaku kredą oznacza zajęcie w posiadanie, szanowane powszechnie i nigdy nie przełamane, kto więc pierwszy dopadnie, ten naprzód swój towar odbiera, dalsza zaś dostawa może się opóźnić lub zupełnie nie dopisać, a tu czas drogi i z nim zarobek ucieka. Z tąd wyścigi, łapanina i capanina, rozpacz spóźniających się, swar, wyrzuty, łajanie się wzajemne, kończące się zwykle przybyciem nowéj fury, lub wdaniem głównego dostawcy, jako sądu bez żadnego już odwołania się. Jeżeli towar już jest z góry zapłacony przez przekupniów cząstkowych, wtenczas każdy wyrzuca swoją beczkę, a wyrobnik także starozakonny, nie pytając się nawet, bierze na plecy i niesie na miejsce sobie dobrze wiadome, późniéj dopiero odbierając zapłatę już naprzód ustanowioną i nigdy nie zaprzeczaną. Spieszą się zaś z tem wszystkiem i galopem czynność załatwiają, bo każdy naprzód wie co ma robić, więc namysłu najmniejszego nie potrzeba, a nadto lada chwila może nadejść druga i trzecia fura, a z niemi reszta należnego towaru. Wprawa zaś jakiéj przy częstem powtarzaniu téj roboty nabierają, nadaje jéj ten ułudny pozór nieładu, zamieniając ją w czynność jakby fabryczną, w któréj wszystkie kółka i tryby, kręcą się, warczą, chwytają, w pracy swéj zlewając się do jednego wspólnego celu. Tutaj celem jest zarobek, zarówno handlarza, jak przekupnia lub wyrobnika. Interes łączy ich i interes zniewala do jak najsumienniejszego postępowania, które najlepiéj przedstawia się w ściąganiu reszty od przekupniów przypadającéj należytości, równie szybko i bez porządku odbieranéj, jak cała ta operacja handlowa jest pospieszną i bezwładną. Kiedy beczki na plecach wyrobników rozchodzą się na wszystkie strony, głównego handlarza obstępuje tłum przekupniów, i każdy wyciąga ręce z pieniędzmi, pragnąc jak najprędzéj zaspokoić należytość i biedz do właściwéj swéj czynności. Handlarz z książeczką i ołówkiem do zapisywania, odpycha cisnących się, wyciągnięte ręce z banknotami niemal po sam nos, odrzuca z gniewem, złości się, łaje, wreszcie usuwa się w ciaśniejsze miejsce między beczki, żeby przystęp do siebie utrudnić, a odbierane pieniądze szybko obliczając prawie jednym rzutem oka, pakuje w boczną kieszeń, robiąc jednocześnie stosowny zapis. Jak tylko przekupień pozbędzie się kłopotu z zapłatą, nie zatrzymując się już chwili, nie wypytując się czy został do rejestru wciągnięty, nie oglądając się nawet po za siebie, dyrdakiem pędzi do towaru aby go jak najprędzéj wyszykować do rozsprzedaży. Czasami, ale to bardzo rzadko, w miejsce pieniędzy przekupień pokazuje tylko kilka palców, kiwnie głową, handlarz odkiwnie i zapisze i rzecz skończona. Dzieje się to albo skutkiem otrzymanego kredytu, albo osobistych kombinacji rachunkowych. W pięć minut wszystko się kończy, handlarz zamyka książeczkę, przekupnie rozpierzchają się i z nowych interesantów tworzy się mała kupka, umawiająca się z handlarzem o nowy towar spodziewany dziś jeszcze albo jutro. Jeżeli dziś, umawianie staje się żywsze, biednego handlarza łapią, szarpią, kręcą w lewo w prawo, wtykają gwałtem pieniądze, odskakując na bok dla przyjrzenia się czy pójdą do kieszeni jako znaku przyjęcia umowy, głaszczą po twarzy, odwodzą na bok, szepczą coś tajemniczo, biją w ręce, tarmoszą brodę, wreszcie przybiwszy targu, rozłażą się ginąc w ogólnym tumulcie. Jeżeli towar jutro dopiero spodziewany, umowa odbywa się spokojniéj nie tak natarczywie, bo jeszcze czasu na nią dosyć a może się zdarzyć inny korzystniejszy interes. Po przybiciu więc targu lub ugadaniu się, handlarz siada na boku i odbywa sam z sobą rachunek, spiesznie, wprawnie i na tem wszystko się kończy.

(d. n.)

---

*
* *

Dałbym konia z rzędem, a nawet z bogatym czaprakiem, gdybym mógł odmalować kwitnące kasztany i czeremchy Saskiego ogrodu, a policzyć wszystkie wyboje na ulicach Warszawy, wybornie posługujące do zwichnienia nogi lub złamania karku choćby najhardziejszego. O bzach, fijołkach, konwaljach, obsypanych kwieciem morelach i jabłonkach, czarowną wonią wtórzących trelom słowiczym, nic Wam nie powiem bo je macie i lubujecie się niemi, ale kasztanów jakie ocieniają chodniki Saskiego ogrodu, tak prześlicznie grupujących się rzędami okazałych kwiatów, tych możecie nam pozazdrościć, bo je rzadko która posiada okolica. Gdyby Maj corocznie sprawiający te cuda, mógł zagęścić kląby ogrodowe, dziś podziurawione jak przetaki i przyspieszyć ukończenie zakładanych kwater z kwiatami, kopca z krętemi ścieżkami, kompasu kwiatowego, ogród Saski stałby się ogrodem nad ogrodami, pieścidełkiem i chlubą ogrodniczéj sztuki. Ale na nieszczęście Maj nie ma rąk ludzkich, a te tak jakoś leniwo krzątają się około rozpoczętych upięknień, że zapewne woda w Wiśle, i wzniesie się i opadnie, nawet może i wystąpi z koryta, a końca się ich nie doczekamy. Wprawdzie co tydzień jakiś murawnik pocięty zostanie w esy i floresy, tu podwiozą ziemi, tam nasypkę przyklepią,

tu zasadzą kilka kwiatków, tam drożynę gruzem podsypią, tu kląb upiętrzą w kilka gradusów, tam dół wykopią lub dołek, a nawet kilka cyfr wyłożono na kompasie a na kopiec zgromadzono już kilkadziesiąt cegieł, ale tak jakoś to wszystko robi się od niechcenia, cicho i tajemniczo, że czasem tylko gdzieniegdzie ujrzeć można ruszających się kilku robotników, i to jeszcze nie wiadomo, czy dla pracy, czy dla oglądania zgromadzonych.

Z brukiem Warszawskim inna sprawa, bo ten na to się układa, żeby przez zimę popsuł się, a z wiosną na nowo był układany, ale ogród Saski w innych powinien się rozwijać warunkach, nie w fabrycznych z trajkotem wozów, z wyrzynaniem kolei, tumanami kurzu, z rozsypaniem gruzu i z ciągłem rozpoczynaniem jakiegoś nowego pomysłu, ale w chęci utrzymania dla przechodniów, zawsze miłego, spokojnego i przyjemnego miejsca dla przechadzki, jedynego jakiem Warszawiacy cieszyć się mogą i roskoszować. Wszystkie więc upiększenia powinny się odbywać szybko zaraz z pierwszem zniknieniem śniegu, razem z porządkowaniem i umiataniem, żeby w Maju przynajmniéj, w ogrodzie już była tyle upragniona cisza i wszelka swoboda dla przechadzających się.

Ale z kurzem ulicznym gorsza jeszcze sprawa. Świeży bowiem bruk przy oddawaniu zwykle posypywany bywa piaskiem, aby nierówności i niedokładności zbytecznie się niepopisywały. Jak więc tylko ulica nowo przebrukowana otworzoną zostanie, z pierwszym warkiem trajkoczących kół, wznoszą się chmury najdelikatniejszego pyłu, i niepokojone przebiegiem coraz nowszéj dorożki lub powozu, płyną coraz wyżéj i wyżéj, piętrzą się, balansują i pomimo zamkniętych szczelnie okien, na wszystkich sprzętach domowych, firankach, ścianach, osiadają grubemi warstwami, ciekawie nawet zaglądając do szuflad szaf i komód, choćby w potrójne zamki zaopatrzonych. Na ulicy zaś na kilka łokci od ziemi, z pyłu unosi się jakby mgła gęsta jesienna, że zaś przebruk odbywa się w kilku naraz miejscach, można więc sobie łatwo wyobrazić, jak w pośród dnia miłą i przyjemną jest Warszawa, szczególniéj gdy dogrzewa słońce i panuje pogoda żadną nie zamącona chmurką.

Żyjąc nie sielankowem wcale życiem, w przeszłym tygodniu za to, professor Struve w odczycie publicznym: *O pięknie i jego objawach*, rozwinął prawdziwą sielankę, pełną kwiatów i kwiateczków, strumyków szemrzących, słowików kwilących i śpiewających skowronków. Nie rozwodząc się nad określeniem piękna, więcéj poczutem jak wyrozumowanem, professor zajął się przedewszystkiem do wykazania go w naturze, w świecie nas otaczającem, widzianym przez wszystkich, a rzadko pojmowanym w harmonijnéj swéj piękności. Cały obszar przestrzeni bez końca z miljardami światów zawieszony nad naszemi głowami, ziemia z pozębionemi lądami, z przepaścią bezdenną mórz i oceanów, z wulkanami ziejącemi ogniem jest na przemian, wielkim, pięknym, wzniosłym i groźnym objawem piękna. W roślinach piękno objawia się w bogactwie form i barwy, cudownie stopniowanych od malutkiego meszku przyczepionego do nagiéj skały, aż do olbrzymich dębów tysiącletnich i więcéj. W świecie zaś zwierzęcym, depczącym dumnie po matce ziemi, lub na wątłych skrzydełkach unoszących się po nad jéj powierzchnią, uroczą ciszę roślinnego życia, przerywa gwar walki wszystkich przeciwko wszystkim, zapowiadającym świat wyższy, ludzki, zrywanie się ducha, z krępujących je więzów żądz i namiętności zmysłowych. Człowiek stwarza piękno, bądź idealizując świat zewnętrzny, bądź realizując piękne czyny i dzieła. Tym sposobem z piękności natury, przechodziemy do piękności ducha i jego utworów, i historja sztuk pięknych to historja ducha ludzkiego o ile on rozwija piękno i niem się zajmuje.

Sztuka nie jest dla sztuki, jak niektórzy utrzymują, nie mogąc nigdy oczów oderwać od ziemi, ale dla podniesienia, uprzyjemnienia i uzacnienia życia, dla zbliżenia człowieka do najwyższéj doskonałości, i ocucania w nim duszy zbyt często zapadającéj w gnuśność i odrętwienie. Najwyższem jednak pięknem sączyny ludzkie, ukoronowane miłością dobra ogólnego. Obszerniejsze sprawozdanie o wykładzie tym dam późniéj, a teraz na zakończenie pogadanki, donoszę Wam, że z pierwszym Lipca, ma wychodzić kilka pism illustrowanych, *Kłosy* na wzór zagranicznych, *Bazar* na wzór Berlińskiego i *Rodzina* podobno także z modami i różnemi robotami wyłącznie dla kobiet przeznaczonemi. Rade więc nierade, musicie moje Zacne Czytelniczki, zostać koniecznie modnemi. Obok tych trzech publikacji i kurjera Codziennego pod redakcją Karola Kucza byłego Redaktora kurjera Warszawskiego, po śmierci ś. p. Dmuszewskiego, podtrzymanego, a którego prospekt przy niniejszym numerze dołączamy, zapowiadają także wychodzenie Przeglądu naukowegopod redakcją p. Adama Wiślickiego i pisma technicznego. O ile publikacje te są na dobie, czas to pokaże, zawsze jednak ruch umysłowy jakiego są objawem, cieszy nas niewymownie.

Wszystkim zatem bez wyjątku, zapowiedzianym pismom, życzemy jak najlepszego powodzenia, niech krzewią, rozwijają się, i plenią chwasty na pociechę własną i pożytek kraju nie skąpo obdarzonego w bogate

materjały, największéj w świecie pomyślności. O pismach tych szczegółowe sprawozdanie damy w kronice literackiéj, zaraz po wyjściu pierwszych numerów.

---

## Nowości muzyczne.

---

*Zasady harmonji Rychtera* wyszłe z dodaniem nowych poglądów na harmonję *Weitzmana*, przełożone na język polski przez *Jana Karłowicza*, nakładem firmy Adama Dzwonkowskiego, ukazały się w 2-ch sporych częściach i mogą służyć za dopełnienie wykładu praktycznego *Freyera*. Gdyby niespecjalność *Tygodnika* nietamowała nam drogi, pomówilibyśmy obszernie o pracy *Karłowicza*, która warta jest tego ze wszech miar, lepszego dzieła teoretycznego w naszym języku nie posiadamy.

*Polonez Szopena* ofiarowany pani Du-Pont (złp 3) napisany przypuszczalnie w 14 roku życia o ile z manuskryptu i dedykacji wnosić można, jak to objaśnia w osobnym przypisku wydawca J. Kaufmann, który go w ozdobnym wydaniu miłośnikom tworów Szopena ukazał. Piękny to Polonez tęsknego nastroju (gis miękkie) w trudności nieobfity, za to w piękną i szlachetną melodją. Niewchodzimy tu w rozbiór analityczny prawdziwości wydawanych dzieł Szopena dopiero po śmierci, gdyż o tem dotąd bardzo dużo dałoby się powiedzieć, zaś przeciw, to tylko wiemy że te dzieła, które on za życia pisał i wydawał te przyniosły mu i przynosić będą sławę niczem nie spożytą, inne wydawane po śmierci, ani dodadzą nic do wieńca nieśmiertelnego wieszcza, ani ujmą, choć w takich czuć brak ostatniego dotknięcia ręki twórcy.

*A. B.*

---

## Do skowronka.

---

Szła dziewczka przez pole,
Śpiewała do skowronka:
Ptaszku dzielę twą dolę,
I ja tęsknię do słonka,
Do strumyka w dolinie,
Co tak cicho tu płynie,
Jak modlitwa matczyna,
Gdy zapłacze dziewczyna.
Do téj skiby zoranéj,
Ciężkim potem oblanéj,
Która płaci sowicie,
Bo wystarcza na życie.
Dla mnie śpiewu potrzeba!
Gdy nikt z ludzi nie słyszy,
Głos przenika w téj ciszy,
Prosto prosto do nieba.
A więc miła ptaszyno,
Nie leć, nie leć wysoko,
Tam nie dojrzy cię oko...
Dziel twą dolę z dziewczyną.

d. 26 Marca,

*Emilja Prenier.*

---

## Korrespondencja z Paryża.

Paryż dnia 10 Maja 1865 r.

Zaczynamy dzisiejsze sprawozdanie od kapeluszy, gdyż wiadomość o nich najwięcéj może zająć w téj porze. W ogólności noszą je nadzwyczaj małe w formie zarzuconéj na głowę chusteczki, ukazała się jednak i nowa zupełnie forma, z małem rondkiem zagiętem w środku, z podniesioną główką i maleńkim karczkiem. Te ostatnie nadzwyczaj dziwacznie wyglądają, może dla tego że oko do nich nie nawykło. Widzieliśmy taki kapelusz ze słomy brukselskiéj. Na wierzchu ronda, w miejscu gdzie główka podnosi się w górę, wpięty bukiet z białych narcyzów, nad czołem diadem z takichże kwiatów; boki podgarnirowane białą blondynką, szarfy z białéj wstążki do wiązania. Może być że ten rodzaj, przypominający kapelusze naszych babek, upowszechni się późniéj, dziś jednak widać nie równie więcéj kapotek w formie chusteczek, zwanych powszechnie fanszonikami. Z tych kilka opiszemy tu szczegółowo:

Kapelusz z białego tiulu jedwabnego, zasiany w gwiazdki stalowe, przymarszczany, w miejscu karczka miał dwa szerokie końce, z takiegoż tiulu, naszyte również gwiazdkami, przytwierdzone długą broszą stalową, w formie grzebienia. Podpięcie składało się z tiulu bufowanego nad czołem, przepiętego w kilku miejscach wisiorkami ze stali, i z blondynki po bokach, szarfy białe służyły do wiązania.

Kapelusz z tiulu szafirowego w przerabiane muszki tegoż koloru, przybrany był z tyłu takąż samą kokardą z dwoma długiemi i szerokiemi końcami, w kształcie woalika. Nad tą kokardą dwa sznurki paciorek szafirowych szklannych upięte były w testony. Takież paciorki, pomięszane z tiulem szafirowym stanowiły podpięcie nad czołem, po bokach nagarnirowana biała blondynka, i szarfy z wstążki szafirowéj dopełniały całości.

Kapelusz czarny tiulowy w muszki, objęty był w koło plecionką ze słomy, plecioną wypukło. Przez całe rondo przechodziły cztery takież pletnie. Na warkocz spadały szerokie końce czarne tiulowe, obszyte plecionką i koroneczką, przytwierdzone broszą ze słomy. Podpięcie nad czołem składało się z kłosów słomianych, pomięszanych z czarnym tiulem, boki podgarnirowane czarno i szarfy z wstążki słomkowego koloru, z czarną z obu stron frendzelką, dopełniały ubrania.

Kapelusz fijołkowy z gęstéj krepy zasiany stalowemi paciorkami, miał z tyłu takież same końce, ogarnirowane czarną koronką, przytwierdzone broszą ze stali, fijołki pomięszane z trawką stalową, tworzyły diadem nad czołem. Boki w miejsce blondynki wygarnirowane były bufką z krepy fijołkowéj. Końce z wstążki tegoż koloru, służyły do wiązania.

Kapelusz czarny włosiany, składał się cały z plecionek wązkich na pół cala, układanych w ukośną kratę. W miejscu gdzie się plecionki krzyżowały, naszyte były paciorki stalowe wielkości grochu. Podpięcie z aurykli nad czołem, koloru ciemno karmazynowego ze stalowemi środkami, końce tiulowe naszyte stalą spadające na warkocz, przytwierdzone takimże bukiecikiem, i szarfy czarne z frendzelką ciemno karmazynową, ładnie odpowiadały całości.

Między wszystkiemi kapeluszami, dwa szczególniéj odznaczały się oryginalnym gustem. Jeden z nich cały naszyty był z wierzchu fijołkami, tak że oprócz fijołków nic więcéj nie było widać. Z tyłu spadały końce z białéj illuzji, szarfy lilla wiązały się pod brodą. Drugi biały z tiulu jedwabnego, naszyty był w odstępach małemi szyszkami ze słomy, pomięszanéj z czarnym włosiem. Szerokie końce spadające na warkocz, naszyte były odpowiednio, i zakończone grelotkami z szyszek. Podpięcie składało się z illuzji układanéj w płaskie fałdy przy twarzy przepinanéj szyszkami.

Czepeczki tak ranne jak i strojniejsze mają zarówno kształt fanszoników. Chusteczka taka podpięta nad czołem aksamitką lub wstążką spada w tyle na warkocz, lecz go nie pokrywa, ale tak samo jak z pod kapelusza wychodzą z pod niéj koki, objęte niewidzialną siatką. Na dzień noszą chusteczki złożone ze wstawek muślinowych i walansienkowych, ogarnirowane walansienką, podpięte nad czołem odwróconemi od siebie puklami z wstążki, pomiędzy które zachodzi ząb chusteczki, drugi ząb spada na warkocz, z pod niego wychodzi kokarda z długiemi końcami. Na wieczór chusteczka taka bywa z blondynki białéj najczęściéj pomięszanéj z czarną, podpięta kokardą aksamitną lub kwiatem.

Uważaliśmy też bardzo ładny ubiorek na głowę łatwy do naśladowania, który tu szczegółowy opiszemy. Nad czołem idzie podwójna kokarda ze wstążki bez końców przytwierdzona do druta, od niéj przechodzi w koło głowy wstążka z długiemi, końcami przewiązanemi pod warkoczem. Z obu stron kokardy nad czołem, rozchodzą się końce białéj szneli zakończone świecącą białą sieczką. Po za kokardą idzie barbka biała lub czarna ze spadającemi na krzyż końcami, które sięgają do połowy warkocza. Kokarda ze wstążki może być przepięta w środku dwoma lub trzema sznurkami paciorek z sieczki. Noszą też bardzo rusze z materji strzyżonéj w maszynie, wygięte mocno nad czołem między niobami; od takiéj ruszy spada mały woalik na tył włosów. Z pod warkocza wychodzą długie końce wstążki, któremi diadem przywiązany. Rusza taka biała lub jasno lilla z białym woalikiem świeżo i ładnie wygląda. Dla młodych pań do teatru lub na wieczorki, uważaliśmy ładne ubranie na głowę złożone z aksamitki czarnéj lub fijołkowéj naszytéj białemi perłami lub sieczką. Aksamitka ta przeciąga się nad czołem, okręca w koło koków i spada po obu stronach ramion, zakończona małemi kwaścikami z pereł. Do takiego ubrania głowy, kładzie się na szyję aksamitka odpowiednio naszyta i zakończona, przepięta w środku broszką, aksamitka ta podszywa się wstążką, żeby się sztywniéj trzymała. Szafirowa aksamitka naszyta popielatemi szklannemi perłami, bardzo też ładnie wygląda.

Paletociki jedwabne dosyć krótkie przybrane pasmanterją, z paciorkami stalowemi, należą w tym roku do najmodniejszych. Pasmanterji nie naszywają jak dawniéj do koła, lecz na szwach, a szczególniéj z tyłu paletota. Naramienniki i mankiety szmuklerskie ze stalą dopełniają ozdoby. Przód spina się na guziki szmuklerskie przerabiane z pacioreczkami.

Na rano używają paletocików popielatych z tkaniny wełnianéj, *chinée*, pomięszanéj z czarnem. Paletociki te bardzo krótkie, spięte na stalowe lub czarne guziki, nie mają żadnéj innéj ozdoby.

Ładne też są paletociki lekkie korcikowe w kolorze popielatym różnych odcieni, zacząwszy od jasno perłowego do ciemno stalowego. Widać także wiele fijołkowych i ciemno granatowych, najczęściéj po prostu objęte w koło gładką pletnią z maleńkim wyłożonym kołnierzem i kieszeniami po bokach; spinają się na dwa rzędy wielkich stalowych, oksydowanych lub złoconych guzików. Noszą także bardzo w dnie chłodne w miejscu okrywek, szale i chustki tak Tureckie jak Francuzkie kaszmirowe, całkiem zarabiane z maleńkiem tłem lub też przerabiane w pasy. Szal taki ślicznie ubiera zwłaszcza jeśli dobrze włożony, co nie jest rzeczą łatwą.

Francuzki ze szczególnym wdziękiem umieją kłaść owe szale. Aby szal dobrze leżał potrzeba koniecznie odwinąć go u szyi, potem prawą stronę założyć

na lewy bok i przypiąć mocną śpilką do stanika; nakoniec lewą stronę pociągnąć mocno do prawego boku i przytwierdzić podłużną broszą. Tak włożony szal nie będzie się podnosił w górę, ani kręcił na szyi. Bardzo wiele szalów układają na burnusy beduińskie, co stanowi ładne i wygodne okrycie.

Magazyny Paryzkie wystawiają mnóstwo wyrobów letnich na suknie tak z jedwabiu jak z wełny. Najmodniejsze w tym roku, są wszelkie wyroby w pasy podłużne, zacząwszy od cienkich jak nitka, aż do szerokich na trzy cale, w szerokich od siebie odstępach. Z pomiędzy materji jedwabnych widzieliśmy ładne pekiny w paski szerokie na palec, w dwóch odcieniach np. majowy, z ciemno-zielonym, lilla z fijołkowym, popielaty z czarnym. U dołu nad obrębem idzie szlak odpasowany w ciemniejszym odcieniu, szeroki na pół ćwierci łokcia, nad szlakiem na każdym brycie, wyrobiony deseń naśladujący pasmanterję z grelotkami. Paletocik do tego krótki, odpasowany odpowiednio. Niektóre paltociki zrobione zupełnie do stanu, są to raczéj staniki z baskiną.

Widzieliśmy także piękne fulary w turecki rzucik lub paski na tle ciemnem albo czarnem. Spódniczki takie z paletocikami, obszyte pletnią jedwabną turecką *(galon cachemire)* bardzo ładnie wyglądają. Noszą również fulary w grecki rzucik czarny lub w drobny groszek na tłach kolorowych. Do strojnego ubrania należy biały fular w kolorowy rzucik lub paski. Niekiedy na tych paseczkach bywa jeszcze rzucik w tymże samym kolorze. Są też zupełnie gładkie fulary w kolorze brązowym, popielatym, zielonym i lilla.

Z wyrobów pół jedwabnych uważaliśmy lekkie popeliny paryzkie, w podłużne pasy jedwabne, przerabiane jakby atłasem *(satiné)*. Z tych podobała nam się bardzo popelina perłowa, w wązkie pasy fijołkowe w znacznych odstępach i jasno hawanna, w ciemno brązowe pasy. Widzieliśmy także gęsty bareż *Lenos* w poprzeczne i podłużne paski jedwabne, fijołkowe, szafirowe lub w guście tureckim na tle białym. Ładnie też wygląda *Lenos* biały w przerabiany jedwabiem rzucik, w podkowy lub koła, fijołkowe z czarnym, i inne. Na suknie do częstszego ubrania pojawił się nowy rodzaj wełnianego wyrobu zwany *Granit*. Jest to wyrób z koziéj wełny popielatéj, jakby posypany czarnym piaskiem, naśladujący granit jak świadczy samo nazwisko. Tańszy jeszcze od tego jest wyrób angielski zwany: *Oolwatz*, także z koziéj wełny, w drobniuchne paski, kratki, lub *chinée*. Wyborne są takie spódniczki z paletocikami, do codziennego ubrania.

---

## O PIECACH PORCELANOWYCH

### w fabryce Stalewskiego w Warszawie

Ponieważ wielkość pieca zależy od obszerności i wysokości pokoju w którym ma być postawiony, więc i cena jego stosuje się do ilości mających się użyć kafli i do ich gatunku. W fabryce p. Stalewskiego wyrabiają się potrójne kafle, berlińskie, krajowe i czerwone.

Pierwsze berlińskie z gliny wyborowéj z Prus dostarczanéj, tam oczyszczonéj, i do fabrykatu przygotowanéj, szerokie cali 8, wysokie 9, szlyfowane czyli pasowane tak, że jeden kafel do kafla szczelnie przystaje, sztuka kosztuje złp. 1 gr. 10. Narożniki podwójne po złp. 2 gr. 20.

Z krajowéj niepasowane, téj saméj co berlińskie szerokości cali 8, ale niższe od nich o cali 4 czyli wysokie cali 5, sztuka gr. 20. Narożniki sztuka po złp. 1 gr. 10.

Trzecie nareszcie tak zwane z czerwonéj gliny tych samych co poprzednie wymiarów, sztuka płaci się po gr. 16, a narożniki po złp. 1 gr. 2.

Pomiędzy dwoma pierwszemi gatunkami kafli na oko niewielka się przedstawia różnica, ta sama glazura i białość jéj, ta sama waga i dźwięk uderzenia, tylko berlińskie jako pasowane, wyglądają czyściéj i staranniéj odrobione, i glina użyta na nie zdaje się być lepiéj przygotowaną. Trzecie czerwone odróżniają się od krajowych tylko śniadszą glazurą. Nie ma wątpliwości, że piec z berlińskich kafli jest najpiękniejszym, ale jestem przekonany, że gdyby krajowe kafle były pasowane i odrobione z równą starannością co berlińskie, wtenczas różnicy między niemi nie byłoby żadnéj, gdy w cenie berlińskie dwa razy krajowe przewyższają. Dlaczego zatem fabryka pasowanie w krajowych kaflach odrzuciła, zachowując je tylko w berlińskich, trudno pojąć. Czyżby krajowa glina, dlatego że tutejsza, że pod naszemi spoczywająca stopami, miała być niegodną starannego w wyrobach swych wykończenia?

Fryzy, gzymsy i galerje na wierzchy pieców płacą się podwójnie, ozdoby zaś środkowe czyli tak zwane medaljony, przedstawiające różne figury w otoczeniu z liści i kwiatów, kosztują od złp. 53 gr. 10 do złp. 66 gr. 20. Za postawienie berlińskiego pieca płaci się złp. 100, z drugich gatunków kafli złp. 40. Majstra udziela fabryka, żądający ponosi koszta podróży, powrotu i utrzymania, płacąc dziennie po złp. 6, przy robocie daje majstrowi już tylko żywność i pomieszkanie, gdyż za stawianie płaci się w fabryce. Drzwiczki są dwoiste, żelazne i mosiężne w cenie od złp. 6

gr. 20 do złp. 60. Cena zatem pieca zależy od wielkości jego, gatunku kafli i od ozdób, i zwykle wynosi na miejscu od złp. 200 do 700. Przesyłka na prowincją dopełnia fabryka po upakowaniu, na koszt kupującego.

Oprócz pieców wyrabiają się tam także oprawy do kominków pokojowych, bardzo ozdobne z białą glazurą w cenie od złp. 135 gr. 10 do złp. 200, i liście do klombów w ogrodach po gr. 25 sztuka.

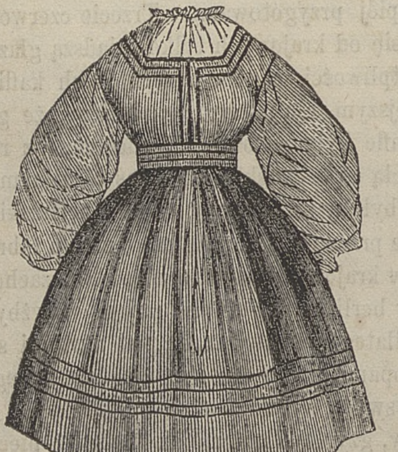
---

## Opis ryciny.

Suknia perkalowa lilla z odpasowanym szlakiem także lilla ciemniejszego koloru. Guziki obciągnięte perkalem lilla, do których umyślnie drukowane są kółka. Paltocik w kształcie stanika z długą baskiną, obciśnięty w stanie pasem rypsowym czarnym ze złoconą klamrą. Kapotka biała tiulowa podpięta nad czołem lewkonją różową. Parasolik czarny jedwabny na białéj podszewce.

(Sztuczka taka perkalowa z odpasowanym szlakiem kosztuje złp. 90. Muślinowa od złp. 90 do 120. Fasonem tym bardzo ładnie wyglądają suknie z gładkiéj alpagi szamoa i szaréj w rozmaitych odcieniach, ubierane czarnym aksamitem).

---



Sukienka dla dziewczynki 8-mio letniéj z szaréj alpagi, naszyta nad obrębkiem cztery albo pięć razy czarną aksamitką. Stanik wycięty czworograniasto, zakończony w górze trzema rzędami aksamitką. Pasek spięty w tyle na kokardę, cały też aksamitką naszyty. Oprócz tego trzy rzędy aksamitki idą z przodu w podłuż stanika. W miejsce rękawów dane są małe epoleciki naszyte aksamitką. Pod spód koszulka muślinowa z długiemi rękawami. Do jesiennego ubrania wszywają się rękawy długie z alpagi.

---



---

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołączają się dwie ryciny.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK



Suknia z popielatego bareżu garnirowana ruszą tiulkową.—
Rękawy marszczone odpowiednio garnirowane.—



w Lito. Tygodnika Mód J. Ciemniewski Lito.

TYGODNIK MÓD

# Dodatek do Nru 20 Tygodnika Mód

*Warszawa dnia 8 (20) Maja 1865 roku.*

## JOANNA EYRE

### POWIEŚĆ
### PANNY BRONTE (CURRER BELL)
### Z ANGIELSKIEGO.

(*Dalszy ciąg.*)

— Joanno, zawołał znagła Rochester po dość długiém milczeniu, moja w tém wina że pozostajesz dotąd w błędzie. Skoro poznasz moją przeszłość, uwierzysz że niémam żony i że wolno mi rozrządzać sobą. Joanno moja, zostaw twoją rękę w mojéj i posłuchaj mnie z uwagą... Czy posłuchasz?

— Przez całe godziny, jeźli tego będzie potrzeba.

— Tylko kilka minut

W tedy począł mi opowiadać szczegółowo wszystkie okoliczności, które towarzyszyły jego połączeniu z panną Mazon, a były tam rzeczy okropne. Ojciec jego nie wiedzący nic o pierszem jego małżeństwie i owdowieniu, pragnąc przelać na głowę starszego syna cały swój majątek, postanowił wynagrodzić tę krzywdę młodszemu bogatém ożenieniem. Pan Mazon przeznaczył swéj córce, pięćdziesiąt tysięcy funtów sterlingów posagu, z tego względu ów związek został ułożony. Wyprawiono do Jamajki młodego Rochestera, zapowiadając mu że tam znajdzie narzeczoną cudownéj urody, i nie było w tém przesady. Rodzice bogatéj dziedziczki, chciwi pozyskać dla niéj imię dające świetne stanowisko w świecie, użyli ze swéj strony wszelkich środków aby ująć i omamić młodzieńca, łechcąc z kolei jego zmysły i miłość własną. Nie widywał Berty inaczéj jak w śród świata, którego hołdy ją otaczały, bo w nim jaśniała podwójnym blaskiem bogactw i urody. Cóż dziwnego że omamiony przebiegłością rodziców, upojony pochlebnemi względami kobiety cudnie pięknéj, wpadł w zręcznie nastawione sidła i ożenił się, nieznając prawie swojéj narzeczonéj nie wiedząc, jak straszliwe zarody w sobie nosiła, i nie zawiadomiony nawet, że matka jéj żyła dotąd, zamknięta od lat kilku w domu obłąkanych.

Wkrótce po ślubie, złudzenia jego się rozwiały i dosyć mu było dni niewielu aby ocenić z rozpaczą upadlające skłonności, ciasny umysł i rozliczne przywary młodéj dziewczyny z którą związał swe życie. Odłączyła go niebawem przewrotnością, nierozsądkiem i gwałtownością, które się dziwnie splatały w jéj charakterze. Wkrótce nastały złowrogie objawy, które mu przedstawiały przyszłość w przerażającem świetle; i nową jego rodzinę niegodną wszelkiego szacunku. Mniéj silna dusza byłaby upadła pod brzemieniem tylu i tak niepowetowanych nieszczęść. Rochester walczył przez lat cztery, ukrywając swój wstręt i usiłując, ale nadaremnie zmienić lub chociaż poprawić tę naturę nieposkromioną, któréj przywary rozwijały się z przerażającą szybkością, pomimo wszelkich z jego strony starań. Nędzna ta istota zeszła wreszcie aż do zapomnienia o wszelkich względach przyzwoitości i mąż jéj uznał za konieczne starać się o zerwanie tego haniebnego związku. Ale właśnie wtedy, objawiały się już wyraźnie u Berty początki obłąkania, rozwód stał się zatém niepodobny do uzyskania, i nieszczęśliwy Rochester ujrzał się skutym na zawsze z niedolą na jaką go skazała chciwość jego rodziców, oszustwo rodziny Berty i własna nierozwaga. Wtedy to obudzała się w nim nieraz chęć samobójstwa, ale postafił się jéj oprzeć; postanowił więc powrócić do Europy, umieścić żonę w Thornfield, i szukać w dalekich podróżach chwilowego zapomnienia zgryzot, które mu zatruwały życie.

Wszakże, mając duszę tak gorącą, tak skłonną do uniesień, a przytém szukając z potrzeby rozrywek, młody ów podróżnik, dziś już bogaty skutkiem śmierci starszego brata, musiał koniecznie napotkać na swojéj drodze nie jeden zawód, nadzieje, wiecznie zawodzone, skarby uczucia trwonione po bezdrożach, zwodnicze widzenia po których następowały wkrótce gorzkie rozczarowania... Tak upłynęły lata jego młodości.

Śmierć Celiny Vorens i przyjście na świat Adeli, stanowiły najwydatniejszy ustęp tych smutnych czasów, których, jak powiadał, wszystkie wspomnienia były mu obrzydłe. Rozumiałam wybornie to w nim uczucie wstrętu, ale tym bardziéj obudziłam w sobie uczucie własnéj godności, abym do burzliwego jego życia samowolnie nie dodała jedno więcéj wstrętne wspomnienie — To przekonanie stało się dla mnie ochronną tarczą w walce z własną słabością, w któréj postanowiłam zwyciężyć siebie i zapewić tryumf sztachetemu obowiązkowi.

Rochester mówił długo i z porywającém uczuciem, odwoływał się z kolei do mojego przywiązania, wreszcie do litości, obudzał wszystkie wspomnienia, które mogły wzruszyć moje kochające serce, wreszcie widząc łzy w moich oczach i odgadując z wyrazu twarzy wahanie, odważył się zażądać odemnie wyraźnéj obietnicy że go nigdy nie opuszczę. Nie doczekawszy się odpowiedzi, zawołał:

— Joanno milczysz?...

Była to chwila okropna. Wśród szalonego zemętu wewnętrzéj walki, którą usiłowałam ukryć pod pozorami spokoju, myśl moja zaciemniała się coraz więcéj i stawała się niewyraźną dla mnie saméj. Byłam kochana, jak żadna kobiéta na świecie i kochałam nawzajem całą duszą, a jednak, trzeba mi było wyrzec się mojéj miłości, szczęścia całego życia; powinność moja streszczała się w jedném słowie — rozstanie.

— Joanno, powtórzył, czekałem tylko jednego słowa od ciebie. — Rochesterze, jestem twoją.

— Panie Rochester, odpowiedziałam, nie będę nigdy twoją...

Nastąpiło długie milczenie.

— Joanno, powtórzył jeszcze, tą razą ze słodyczą, która zarazem rozdzierała mi serce i przejmowała dreszczem przerażenia, bo ten głos spokojny zdawał się być westchnieniem lwa zabierającego się rozpaczliwie do walki... Joanno, nie możesz przecie chcieć tego abyśmy poszli w tém życiu, każde w inną stronę?

— Właśnie chcę tego.

Joanno, zawołał, schylając się ku mnie i ściskając rękę z uczuciem czy chcesz tego i teraz jeszcze?

— Chcę.

— I teraz? zapytał znowu całując ręce moje i tuląc je do piersi i twarzy.

Ruchem nagłym i szybkim siłą która nieznała oporu, odskoczyłam.

— Chcę tego, odpowiedziałam, z największą stanowczością.

Rysy jego przybrały wyraz obłąkania, którego jeszcze nie znałam w téj twarzy. Podniósł się zwolna i wtedy zadrżałam... Gdyby nie poręcz od krzesła na któréj się opierałam, byłabym się zapewne osunęła na ziemię.

— Zastanów się tylko przez chwilę, Joanno, rzekł znowu. Rozpatrz się w życiu, które będzie mojem udziałem odkąd mnie opuścisz. Całe szczęście moje wraz z tobą... odejdzie. Moja żona, to ów rozszalały potwór, który widziałaś, czyliż mię skażesz na to żebym żył tylko dla niéj? abym już nie znał innéj miłości?

— Skazuję cię na to samo życie, którem ja odtąd będę żyła, na oddanie się Bogu i własnym twoim siłom, na wiarę że się w Niebie spotkamy.

— Więc to twoje ostatnie słowo?

— Nie inaczéj.

— Więc cię mało obchodzi abym żył nieszczęśliwy i umarł przeklęty?

Głos jego podnosił się stopniowo i grzmiał jak daleki porun przed nadejściem burzy.

— Radzę ci abyś żył bez winy i umarł w zgodzie z sobą samym... Z resztą, zapomnisz mnie..

— Nie mów więcéj, albo powiedz że uczucie jest dla mnie czczém słowem. Jakże skrzywione masz pojęcia o cnocie, — według ciebie lepiéj jest rzucić na pastwę rozpaczy, człowieka oddanego tobie całą duszą, jak obrazić czcze względy społeczeńskie, wtedy kiedy społeczeństwo nie ma nawet prawa wglądać w twoje postępowanie, bo czyliż masz rodziców lub rodzinę, któraby postępki twoje mogły obchodzić, lub dotknąć w jéj przesądach...

Był istotnie w tych słowach pozór prawdy, i przyznam się że chwilowo umysł mój zbłąkany stanął przeciw niemylnemu głosowi sumienia. Wymawiałam sobie moj opór jako zbrodnię. — Pocieszaj go, ratuj go — ukochaj go zamiast go gubić zdawał mi się mówić głos wewnętrzy Powiedz mu, że go kochasz i że będziesz należała do niego... Któż na tym świecie troszczy się o ciebie? Kto się zasmuci twoim upadkiem?...

Lecz z nagła, inny głos odpowiedział mi w duszy: do mnie należy troszczyć się o mnie samą, im bardziéj jestem opuszczoną i pozbawioną wszelkiéj podpory, im mniéj mam przyjaciół na ziemi, tém więcéj powinnam sama siebie szanować. Uznam prawo wydane od Boga, uświęcone przez ludzi, uznawałam je kiedy rozsądek mną rządził, mamże przestać w nie wierzyć w chwili obłędu? Nie wierzę że ono jedno jest prawdą, i nic nie potrafi odtąd zachwiać mojéj wiary.

Rochester, który miał dziwny dar czytania w mojém sercu i w oczach wszystkich moich myśli, poznał od téj chwili że postanowienie moje było niezłomne, i zbliżył się szybko, chwycił moją rękę, i oczy jego zaiskrzyły się blaskiem ócz orła szponami chwytającego zdobycz.

---

## XVII.

Powstałam więc, a choć chwiałam się tak na nogach, iż myślałam że upadnę, czułam jednak że

mi pozostawała dusza wolna i nieujarzmiona, a z nią pewność ostatecznego zwycięztwa. — Ale zanim je odniosę, ileż jeszcze mamy cierpieć oboje, — pomyślałam, i oczy moje podniosły się ku groźnéj twarzy Rochestera, z mimowolnem westchnieniem wydartem z moich piersi. Wyczytał dokładnie moją myśl w tem spojrzeniu.

— O, rozumiem ja ją dobrze! zawołał, nigdy nie istniało na świecie stworzenie tyle wątłe a zarazem tak niezwyciężone. Dla mojéj dłoni to słaba trzcina, coby się ugięła pod jednym moim palcem, ale nacóż by mi się przydało zgiąć ją, złamać, poszarpać w kawałki? W tem śmiałem spojrzeniu objawia się ów duch nieustraszony wypowiadający niezłomną wolę i świętą wiarę w zwycięstwo. Z jego powłoką mogę uczynić co mi się spodoba, ale jakże jego samego doścignąć? Mogę owładnąć zwycięsko tę ziemską lepiankę, ale mieszkaniec jéj odleci wtedy do nieba... A wszakżeż to ciebie ja ukochałem, ty duchu szlachetny, z twą niepokalaną czystością, z twoją świętą siłą? Joanno, na to abyś należała do mnie, potrzeba twojéj własnéj woli... Ach! gdybyś ty chciała?..

Kiedy to mówił, puścił rękę moją i spoglądając na mnie z niewymowną czułością.

O ileż trudniéj było jeszcze oprzeć się temu spojrzeniu?

A jednak, należało dotrwać do końca, postąpiłam więc ku drzwiom, chcąc raz położyć koniec téj scenie.

— Więc odchodzisz, Joanno? zapytał.

— Tak, panie.

— Więc mnie opuszczasz?

— Nie mogę zrobić inaczéj.

— I nie wrócisz? nie zechcesz być mi pomocą i pocieszeniem? Masz więc za nic wszystkie moje proźby i zaklęcia, i moją rozpacz, i tę miłość bez miary jaką cię ukochałem?

Serce moje drętwiało niewypowiedzianym bólem, dusza rwała się wszystkiemi siłami tam gdzie ją wołała ta dusza bratnia czekająca odemnie ratunku. Ale Bóg mnie nie odstąpił w téj straszliwéj godzinie i potrafiłam wyrzec pewnym głosem:

— Muszę się oddalić.

— Joanno!...

— Słucham.

— Oddal się więc — zgoda na to. Ale pamiętaj że mię tu zostawiasz sam na sam z moją nędzą. Odejdź do swego pokoju, i tam, Joanno... zastanów się nad tem com ci powiedział... i rozpatrz wszystkie moje cierpienia, — rozumiesz mię?... wszystkie!

Wyrzekłszy to odwrócił się odemnie rzucił się na sofę i kryjąc głowę w poduszki, zawołał stłumionym głosem:

— Ach Joanno! ty moja nadziejo... moja miłości! moje życie!...

Stałam już na progu, a jednak wróciłam. Zbliżyłam się i uklękłam przy nim, mówiąc ze łzami łkającym głosem:

— Niech cię Bóg swoją opieką osłania, panie mój ukochany, niech cię zachowa od wszelkiéj złéj myśli i od zbyt ciężkich cierpień... Niech cię On prowadzi i wspiera — i niech ci się za mnie wypłaci...

— Miłość mojéj Joanny byłaby mi najlepszą zapłatą, odpowiedział; bez niéj serce moje wiecznie cierpieć musi. Ale wszakże moja Joanna jest nadto szlachetna, nadto wspaniała, aby mi mogła dziś odmówić mojego zbawienia. A potem... ona mię kocha, — jéj serce już do mnie należy, wiem o tem dobrze...

Tu powstał z nagła, wyciągając ku mnie ręce... ale wyszłam, nie oglądając się już więcéj po za siebie.

— Żegnam cię! mówiłam w myśli, kiedy odchodziłam — żegnam cię na zawsze!....

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Jakkolwiek nie spodziewałam się zmrużyć oka téj nocy, stało się wcale inaczéj i zasnęłam twardym snem, zaledwie głową dotknęłam poduszki. Ale równo z brzaskiem obudziłam się, jakby mię wołam głos mojego anioła do spełnienia tego co mi nakazywało sumienie. Było to w lecie, miałam przed sobą kilka godzin, ale nie było chwili do stracenia. Chciałam bowiem opuścić Thornfield bez niczyjéj wiedzy nie zostawiając Rochesterowi możności odszukania mię. Wstałam zatem śpiesznie ubrałam się, wybrałam w szufladach trochę bielizny i rzeczy najpotrzebniejszych; a gdy mi wpadł w ręce bogaty naszyjnik z pereł do przyjęcia którego zmusił mnie Rochester przed kilku dniami, odrzuciłam go z boleśnem uczuciem. Ten klejnot nie należał do mnie, ale do owéj urojonéj oblubienicy, która znikła bezpowrotnie jakby sen jaki. Wzięłam tylko sakiewkę z dwudziestoma szylingami i te stanowiły całe moje mienie. Skoro wszystko upakowałam, wzięłam w rękę małe zawiniątko i trzewiki, których niechciałam kłaść na nogi, aby mnie nie usłyszano i wysunęłam się jak najciszéj na kurytarz.

— Bywaj zdrowa, kochana pani Fairfax, szepnęłam przechodząc przed jéj drzwiami bywaj zdrowa, moja miła Adelciu, pomyślałam spoglądając w stronę jéj pokoju, ale nie wolno mi było

tracić czasu, przeczuwałam bowiem, że baczne oko musiało być w téj chwili na czatach.

Doszłam nareszcie przed drzwi pokoju Rochestera, chciałam je minąć śpiesznie, ale mimowoli zatrzymałam się przykuta do miejsca jakby jaką nadprzyrodzoną siłą. — Jednocześnie usłyszałam kroki przebiegające niespokojnie pokój i po kilka razy doszło mnie jakby boleśne westchnienie.— O Boże! pomyślałam, tylko przestąpić ten próg i powiedzieć: kocham cię i chcę pozostać na zawsze przy tobie, — a szczęście wszystkie swe skarby rozsypie u nóg moich. On mię tam czeka, z rana będzie mnie wyglądał niecierpliwie. Każe mię szukać—daremne będą jego zabiegi. Pozostanie samotny, opuszczony, z rozpaczą w duszy bo bez nadziei...

Kiedy te myśli przebiegały po moim znękanym umyśle, siły tak pracowicie zebrane niesłychanem woli wysileniem, poczęły mię opuszczać, i była chwila w któréj rękę podniosłam do klamki; ale cofnęłam ją szybko i wybiegłam na podwórze.

W porównaniu z tą boleścią, wszystko co mnie czekało w przyszłości było już niczem. Plan miałam obmyślony zawczasu i wykonywałam go dokładnie. Wzięłam w kuchni klucz od ubocznéj furtki dziedzińca i trochę oliwy do posmarowania zamku. Włożyłam trzewiki, zjadłam kawałek chleba i wypiłam szklankę wody, przewidując że może mi wypadnie iść długo bez wypoczynku. Potem wyszłam z domu jak najciszéj, przeszłam przez dziedziniec i otworzywszy furtkę, zobaczyłam pole, niby ten świat szeroki pośród którego miałam iść odtąd daléj samotna, o własnych tylko siłach...

Szłam pogrążona w boleśnych rozmyślaniach. O milę od Thornfieldu, poznałam o podal drogę wiodącą do Millcote. Nie zapytywałam siebie w téj chwili dokąd idę i co pocznę daléj; szłam, ani się oglądając po za siebie, ani też patrząc w tę przyszłość tak ciemną i opustoszałą, która się przedemną otwierała. Pamiętam że przechodziłam rozległe pola i łąki porosłe wysoką trawą, że rosa przemoczyła wkrótce moje obuwie, że wreszcie zeszło słońce.... Wszystko to przedstawia mi się dzisiaj jakby widziane we śnie; szłam nie patrząc w koło siebie, tak jak człowiek idący na śmierć, który nie zważa na kwiaty co się do niego uśmiechają po drodze, bo myśli o straszliwem rusztowaniu, o zimnem cięciu topora i ostatniem potoczeniu się odciętéj głowy. Co do mnie, miałam przed oczami to wieczne rozstanie, tę zimną pustynię po któréj miałam odtąd błądzić, tę straszliwą boleść, którą zostawiłam w zamian za tyle miłości i poświęcenia. I nieraz zapytywałam siebie czy to co miałam za ofiarę nie było raczéj zbrodnią i czyli odpychając od siebie to serce któremu ja jedna mogłam być podporą i pocieszeniem, nie rzucałam je na pastwę niebezpiecznym podszeptom zwątpienia i rozpaczy. — O Boże mój! mówiłam sobie wtedy, wszakże czas wrócić jeszcze, o Boże, natchnij mię, wskaż gdzie jest prawdziwy mój obowiązek, gdzie zbawienie dla nas obojga, kędy wyjście z téj tak ciężkiéj próby?

I stało się według mojéj modlitwy. W tej strasznéj godzinie, Bóg nie odstąpił sieroty opuszczonéj od wszystkich i od własnych sił nawet, ręka jego wiodła mię wyraźnie mimo mojéj wiedzy, i kiedy serce moje rwało się z powrotem do Thornfieldu, jakaś siła niewidoma pchała mię coraz śpieszniéj naprzód.

Przyszła jednak chwila w któréj siły ciała poczęły słabnąć, uczułam coraz większą niemoc, kroki moje stawały się coraz wolniejsze, wreszcie zachwiałam się i upadłam. Leżałam czas jakiś na ziemi, przyciskając twarz do wilgotnéj trawy któréj świeżość utrzymywała mnie przy zmysłach. Lękałam się aby śmierć mię nie zaskoczyła na tem pustkowiu, potem znowu cieszyłam się myślą bliskiego końca mojéj niedoli. Jednak, po pewnym czasie, uczułam się nieco orzeźwioną i mogłam powlec się trochę daléj opierając się na rękach i na kolanach. Nareszcie podniosłam się i szłam znowu odważnie ku drodze, któréj kręta wstęga szarzała w oddali.

Doszedłszy do niéj musiałam zatrzymać się trochę dla wypoczynku. Kiedy się wachałam, nie wiedząc w którą mam iść stronę, usłyszałam turkot i w krótce ujrzałam zbliżający się dyliżans. Dałam znak woźnicy aby się zatrzymał i zapytałam dokąd jedzie? Nazwał mi miejsce dosyć odległe, z którem wiedziałam że Rochester nie miewał żadnych stosunków, i zażądał za miejsce dla mnie w powozie trzydzieści szelingów. Ofiarowałam dwadzieścia, zapewniając że nie mogę dać więcéj. Woźnica, który wracał z pustym powozem, zgodził się wreszcie na tę cenę. Wsiadłam, dzwiczki zamknęły się za mną, — kiedy powóz ruszył w dalszą drogę, strumień łez zalał twarz moją. Stało się — rzekłam — a teraz, w imię Boże! daléj naprzód wszakże nie jestem samotna....... Bóg moim obrońcą i opiekunem.

*(Dalszy ciąg nastąpi).*